Nr. 3. Lwów, — 1896. r. Wydawnictwa Rok XIX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca i Iskre** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie **2** złr., półrocznie4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, orazw Ameryce półrocznie 20 frank. (4 dol.): rocznie w Ameryce południ,. w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora:

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.



Zygmunt Gorgolewski.

(Rysowane z fotografji Koehlera).

W naszych stosunkach bardzo często się zdarza, że szersza publiczność dopiero przy jakiejś ważniejszej sposobności dowiaduje się, iż wśród nas samych, w pewnym kierunkn pracy umysłowej znajdują się ludzie głębokiej nauki, niepospolitego talentu i niezmiernie wytrwałej pracy. Do takich właśnie ludzi należy Zygmunt Gorgolewski, którego wizerunek w dzisiejszym numerze podajemy. Dziś dopiero cała Polska dowiedziała się, że dyrektor lwowskiej państwowej szkoły przemysłowej, Zygmunt Gorgolewski, jest jednym z najznakomitszych architektów — artystów w Europie, ale jeszcze nie wie o tem, że nie wyrósł on raptem z pod ziemi, lecz ma po za sobą długi szereg lat mozolnych studjów, służby publicznej, praktyki zawodowej i nareszcie cieszy się zaszczytnem uznaniem u obcych i do tego u niemców, którzy z pewnością skłonniejsi są zawsze do zaprzeczania nam, aniżeli do przyznania czegoś dobrego. Nawet ten Berlin, *nolens volens* musiał przypiąć dekorację uznania wielkiego talentu i nauki Gorgolewskiemu, choć z pewnością ciężko to przyszło krzyżackim architektom.

Gorgolewski, człowiek skromny, profesor sumienny, dyrektor c. k. państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie, oddający się służbie zawodowej całą duszą, naraz świetnym planem budowy teatru miejskiego we Lwowie, który jak wiadomo otrzymał jednomyślną uchwałą jurorów pierwszą nagrodę na konkursie, staje się osobistością europejską, bo plan, który wykonał, niezawodnie tylko architekt — artysta europejskiej miary, mógł stworzyć.

Przyjrzyjmy się przedewszystkiem, skąd się wziął Zygmunt Gorgolewski.

Zygmunt Gorgolewski, urodził się w Solcu w Wiel. Ks. Poznańskiem w r. 1845. Nauki ukończył złożywszy egzamin dojrzałości, w gimnazjum realnem w Poznaniu. W r. 1866 udał się na królewską akademję budowniczą do Berlina. W r. 1871 złożył tamże pierwszy, a w r. 1874 drugi ostateczny egzamin państwowy na architekta i inżyniera, uprawniający do służby rządowej w Prusach. Do r. 1887 przebywał stale w Berlinie, gdzie budował najprzód wielki dworzec osobowy kolei żelaznej (Lehrter Bahnhof). Przez kilka miesięcy był w urzędzie budowniczym miejskim, jako zastępca naczelnika tegoż urzędu. Przeszedłszy w służbę państwową do król. komisji ministerjalnej budowniczej, wykonał rozszerzenie gmachu król. biura statystycznego, oraz przebudowanie gmachu ministerstwa rolnictwa, domen i lasów. W r. 1877 powołany został do król. ministerstwa robót publicznych, w którem przez $2^1/_2$ roku pracował. Poczem zawezwany został do urzędu nadwornego budowniczego cesarza Wilhelma I., jako architekt. W tym charakterze przebywał przeszło 7 lat i wypracował wszystkie projekta architektoniczne, jakie w tym perjodzie się znachodziły, oraz miał nadzór nad temi budowlami, które się wykonywały. Mianowiaie: projekty w kilku stylach na budowę nowego tumu protestanckiego i Campo santo, na restauracją jednej części zamku królewskiego, na nowy pałac królewski w Bellevue pod Berlinem; plany do restauracji królewskich zamków w Królewcu i w Kiel. Projekty i nadzór nad wykonaniem restauracji dawniejszej kaplicy królewskiej w zamku w Berlinie i rozszerzenie zamku księcia Fryderyka Karola tamże. W r. 1886 przeniesiony został powtórnie do król. ministerstwa robót publicznych a w r. 1887 do Halli nad Salą. W r. 1885 mianowany został król. inspektorem budownictwa i w tym charakterze wykonał w Hali budowle uniwersyteckie, mianowicie: instytut fizykalny, pierwszą w ogóle w Prusach uniwersytecką klinikę psychjatryczną, składającą się z kilku izolowanych budynków, przebudował część kliniki chirurgicznej, postawił nowe muzeum archeologiczne i dał specjalne projekty na budowę instytutu chemicznego i farmakologicznego tamże. W r. 1891 przeniesiony został do Hildesheimu, w Hanowerskiem, jako członek tamtejszej rejencji (königl. Regierung). Przy tej władzy był referentem dla spraw budowlano-szkolnych i dla budowli uniwersyteckich w Göttingen.

W czasie swej działalności w Berlinie był asystentem na tamtejszej król. politechnice w dziale projektowania architektonicznego przez lat 7. Oprócz tego brał udział w najgłówniejszych w Niemczech swegoczasu konkurencjach architektonicznych. Mianowicie w r. 1872, w międzynarodowej konkurencji na gmach parlamentu niemieckiego projekt jego na 105 nadesłanych prac, zyskał pochlebną ocenę.

W r. 1882., w drugiej międzynarodowej konkurencji na tenże parlament, projekt jego na około

200 konkurentów zyskał czwartą nagrodę. W konkur' sie na gmach sądu rzeszy w Lipsku (Reichsgerichtsgebäude) projekt jego do najwybitniejszych należał. Wykonał wreszcie pierwszy projekt na wspaniały most cesarza Wilhelma w Berlinie.

Z prywatnej działalności, oprócz pomniejszych dworów i domów, zasługują na wzmiankę: w Poznaniu gmach Tow. Przyjaciół Nauk i domy przed teatrem polskim tamże; w Poznańskiem: pałacyk ks. Radziwiłła w Bagateli, pałace hr. Czarneckiego w Raszewach i w Siekowie, hr. Kwileckiego w Oporowie i pani hr. Działyńskiej z ks. Czartoryskich, pałac w Gołuchowie. Projekt na restaurację historycznego zamku ks. Radziwiłłów w Ołyce na Wołyniu. Restauracja kościoła starożytnego we Wrześni, plany na restaurację katedry w Poznaniu. Budowa kaplicy hr. Czapskich w Smogulcu w Poznańskiem. Nadto w Niemczech z gmachów publicznych: plany na jedną szkołę wyższą dla dziewcząt w Berlinie, na sądy ziemiańskie i okręgowe w Opolu, na Szląsku i w Olsztynie w Prusach; projekt na więzienie w Świdnicy i Królewskiej Hucie na Szląsku itd. Wreszcie plany specjalne na wielki król. zakład kąpielowy w Oeynhausen we Westfalji.

Podróże naukowe odbył kilkakrotnie po Niemczech i Austrji; zwiedził część Rossji, Paryż, Szwajcarją i w czasie kilkomiesięcznego pobytu szczegółowo całe Włochy.

W Krakowie był wezwany na członka sądu, mającego ocenić projekty na budowę teatru tamże. Na wystawie sztuki polskiej w r. 1887 w Krakowie, w dziale architektonicznym, sam jeden dyplom honorowy, jako najwyższą nagrodę, otrzymał.

W r. 1893 uzyskał we Lwowie pierwszą nagrodę w konkursie na projekt pałacu sztuki na wystawie powszechnej krajowej w r. 1894 i należał do dwóch komisyj tejże wystawy.

Dla niej wykonał szkic na halę maszyn, projekt na cukiernię Scholtza z Przemyśla, tudzież projektował i prowadził budowę następujących budynków: pawilonu c. k. krajowej rady szkolnej, wzniesionego kosztem J. E. pana namiestnika Hr. Kazimierza Badeniego, pawilonu dla uniwersytetu i politechniki, pawilonu dla Wydziału krajowego, pawilonu dla p. Andrzeja hr. Potockiego z Krzeszowic, a nareszcie głównej bramy wystawowej.

Nadto opracował projekt restauracyjny katedry w Poznaniu i dał plany na budowę nowo wznieść się mającego kościoła rzym. kat. we Lwowie.

Jak widzimy, p. Zygmunt Gorgolewski, jest znakomitym architektem, który odbył szeroką praktykę, budując monumentalne gmachy. Wobec tego, trudno jest pojąć, dlaczego budowa teatru według nagrodzonego planu p. Gorgolewskiego, nie miałaby być powierzona jemu samemu? Wszak i p. Zawiejski w Krakowie miał mniej praktyki, jak p Gorgolewski, przedtem nigdy teatru nie budowa sam stawiał teatr krakowski, a jeśli dziś istnieją rzeczywiście pewne braki w tymże teatrze krakowskim, mianowicie w wygodach i ubikacjach, poza sceną znajdujacych się, to tkwiły one już w pierwotnym planie, a nie w samej budowie. Po co udawać się do obcego architekta, skoro tak znakomitego mamy u siebie? Frazes powtarzany dosyć często o tem, że teatr powinien być budowany przez specjalistę od budowy teatrów, jest niczem innem, jak tylko pustym frazesem, z którym nawet dyskutować nie można poważnie. Architekt który wypracuje plan i ten plan jest akceptowany, najlepiej potrafi poprowadzić budowę, tembardziej taki architekt, jak Gorgolewski, który ma poza sobą znajomość warunków scenicznie teatralnych, gdyż przez 7 lat pobytu swego na dworze cesarza Wilhelma I. w Berlinie, miał nadzór budowlany i nad budowlami dworskiemi tamże; posiada dalej *praktykę* budowy monumentalnych gmachów i to za granicą, gdzie wymagania i warunki są, jak wiadomo, jak najdalej idące.

Naturalnie miasto, które jest najwięcej interesowane w budowie nowego teatru, powinno się porozumieć najbardziej szczegółowo z p. Gorgolewskim ale absolutnie nikt inny teatru tego budować nie powinien, tylko p. Gorgolewski w jaki sposób, to już zależeć powinno od umowy jaką zawrze z miastem.

Teatr jak wiadomo, ma stanąć na placu Gołuchowskich, frontem zwrócony ku wałom hetmańskim. Plan Gorgolewskiego robi wrażenie spokojne, jednolite i monumentalne. Pomimo wielkich trudności, udało się architektowi połączyć w jedną artystyczną całość wszystkie różnorodne co do wysokości i co do swego przeznaczenia ubikacje. Widać to przedewszystkiem w bocznej i tylnej fasadzie. Budynek w rzucie swym poziomym, składa się: z hali krytej, ponad którą znajduje się otwarta *loggia* z obszernego, ozdobnego parterowego westibulu; z *foyer* idącego przez dwa piętra; z wielkiej bogato ozdobnej klatki schodowej dla schodów na I piętro o górnem oświetleniu; z oddzielnych schodów dla wyższych pięter, ze sali widzów, do której przylegają odnośne garderoby i nareszcie ze sceny, podscenia, zascenia i przynależnych ubikacyj. W gmachu teatralnym mieścić się będą odpowiednie ubikacje administracyjne dla dyrektora, kancelarje teatralne i wielka sala prób w kształcie małej sceny, sale prób czytanych i muzycznych. Mieszkanie dolne dla dozorcy, i inne pracownie i lokale na magazyny, oraz na dekoracje. Przed halą zrobiony będzie główny podjazd, kryty dachem szklanym; oprócz tego zajazdu jest drugi od strony teatru skarbkowskiego do namiestnikowskiej loży, z jej apartamentem. Wspaniałe bardzo jest foyer w I. piętrze i tak przestronne, że rzeczywiście będzie ono nie salonem, ale tem, czem foyer w teatrze większym ma być, t. j. miejscem przechadzki w między aktach.

Foyer to może bardzo dobrze być użyte jako wielka sala koncertowa, lub sala zebrań albo balowa, zwłaszcza że ma podobnie jak tutejszy gmach Wydziału Krajowego wspaniałą klatkę schodową z przytykającemi garderobami, kurytarzami i innemi ubikacjami dla wygody publiczności. Wynajmowanie takiej sali na wyżej wspomniane cele, może być źródłem stałego dochodu dla miasta naszego, któremu brak eleganckiej i wielkiej sali bardzo odczuwać się daje. Attykę fasady głównej zdobić będą dwa kandelabry kamienne do światła elektrycznego, oraz po dwu narożnikach grupy allegoryczne figur na postumentach. Ozdoby wszystkie, jak i cała architektura zewnętrzna teatru, są w stylu włoskiego renesansu. Fasada główna składa się z trzech jednopiątrowych arkad.

Tak podawszy wizerunek i o ile możności dokładny życiorys Zygmunta Gorgolewskiego, który zajmuje tak zaszczytną kartę w dziejach naszej sztuki, wyrażamy nadzieję, że gmach przez niego wzniesiony nowego teatru we Lwowie, powinien za jakie lat cztery, oddany być do użytku publicznego.

Od Administracji.

Tych wszystkich pp. Prenumeratorów, którzy zalegają w prenumeracie prosimy usilnie aby odesłali zalegające należytości, gdyż podobne rachunki są bardzo uciążliwe dla wydawnictwa tembardziej, że szczególniej wśród zimy pobieranie prenumeraty przez inkasenta staje się bardzo utrudnionem.

Na tem tei miejscu zwracamy szczególną uwagę pp. Prenżmeratorów zamieszkałych w Ameryce, aby jak najrychlej uregulowali swoje rachunki, odsełając bieżącą i zaległą prenumeratę, gdyż korespondencja z nimi jest bardzo kłopotliwa i kosztowna, a więc będziemy zmuszeni tak jak to robią administracje pism amerykańskich, zalegających w prenumeracie, ogłaszać drukiem i w ten sposób upominać się o swoją należytość. Prenumeratę z Ameryki, jak zresztą jest wymienione przy głównym tytule w każdym numerze, najdogodniej przesełać przekazem pocztowym, lub też dolarami papierowymi w liście rekomandowanym.

Od ręki.

— Frithjof Nansen.

Przyjaciel serdeczny dr. Nansena Fries Schwenzen, w jednym z dzienników norwegskich podaje nadzwyczaj ciekawy szczegóły o tym śmiałym podróżniku. Nansen jest jasnym blondynem, wysokiego wzrostu, smukły i zwinny. Wyprawę swoją obmyślił we wszystkich szczegółach i przygotowywał się do niej długo, hartując się we wszelakich sportach i zaprawiając do znoszenia wszelkich niewygód, oraz najsilniejszych mrozów.

Wytrzymałość jego pod tym względem stała się rozgłośną. Gdy ludziom marzły nosy i uszy, gdy naciągali kołnierze po same oczy, gdy bardzo ostrożnie i bojaźliwie dotykali się klamek gdy jeden do drugiego powiadał: „Hu! mróz siarczysty“, Nansen zaczynał spać na dworze“. Istotnie podczas dwóch ostatnich zim, przed wyruszeniem na „Framie“ („Fram“ znaczy: „Naprzód“), Nansen w noce niezwykle mroźne sypiał na dworze pod osłoną lekkiego jedwabnego namiotu — częścią, aby wypróbować przeróżną ciepła odzież, częścią zaś, aby się na mróz zahartować.

Opowiadał następnie przyjacielowi, że zwykle od 10tej do 2giej, lub 3ciej owinięty w futro, spał wybornie, dopiero potem uczuł chłód tak przejmujący, że nieraz musiał do domu powracać. Nansen mieszkał w Lysaker, nad zatoką. Żona oczekuje go tam wraz z małą córeczką Lio. Dom jego stoi tuż przy domu Friesa Schwenzen, któremu, wyruszając, poruczył opiekę nad najdroższemi sobie istotami.

— 30-letnia rocznica.

Sympatyczne i bardzo pożyteczne towarzystwo, Bratnia Pomoc słuchaczy Uniwersytetu lwowskiego, obchodziło w tych dniach 30-letni jubileusz swego istnienia uroczystem zgromadzeniem, a następnie bankietem, na który zebrało się do dwustu osób. Toastów, jak zwykle przy takich obchodach posypało się mnóstwo, a wśród nich wyróżnił się formą i treścią toast rektora Uniwersytetu profesora Balasitsa.

ODGRZEWANA MIŁOŚĆ.

Komedja w 4 aktach, a 5 odslonach,

napisał

Żegota Krzywdzic.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 2.)

Stach. Nie zakochiwałem się jeszcze...

Kobylinowa. E, gadaj pan zdrów!.. Ale prawda — pan nie ma czasu na takie romanse — pan się kocha w ojczyźnie . . . Panie drogi — ja wiem, że pan russkich nie lubi . . .

Kobylin. (ciszej do żony) Masza!...

Kobylinowa (odpycha go) Da nu ich k'czortu! ale tak ładne moskiewki, to ojczyźnie by nic nie przeszkadzały — ha?... No, ma się rozumieć. Ojczyzna swoją drogą, kobieta swoją drogą, a kochanie swoją drogą... Ja russka, korzenna moskiewka, a ja powiadam, że naszym russkim kudy do polaków!... Państwo się będziecie śmieli — śmiejcie się zdrowi! ale powiadam, że dopóty sprawiedliwości nie będzie w Rosji, dopóki kobiety nie zaczną rządzić, bo nasz brat russkij zgłupiał „krugom“!...

Kobylin (ciszej do żony) Masza! Masza

Kobylinowa. (głaszcząc męża po twarzy łagodnie) No, ma się rozumieć, z wyjątkiem mojego męża. To dobry człowiek — jakby on był carem...

Kobylin. (żachnąwszy się) Ta co ty!... w imię Ojca i Syna... (żegna się) Masza! ta zastanów się!...

(Słychać dzwonek).

Kobylinowa. Aha, teatr się rozpoczyna!

(Ogólne poruszenie — chilowe zamięszanie)

Ciot. Jeszcze się nie rozpoczyna, ale za chwilę rozpocznie się. Dzwonią, właśnie, na aktorów, więc proszę tam do oranżerji, bo reżyser się niecierpliwi.

(Bronka, Stach, Szafraniec wychodzą bocznemi dzwiami — Matylda postępuje również za nimi).

Matylda. A gdzież pan Tarkiewicz?

Ciot. Już jest tam w garderobie z temi dwoma paniami, co mają grać. (Matylda szybko wychodzi).

SCENA 7.

Ciż, oprócz tych, co przed chwilą wyszli ze sceny.

Kobylinowa. (do Ciota) Pardon! panie Ciot! a program jest, bo ja nie wiem, co będą grali...

Ciot. Proszę pani, oto afisz! (daje jej afisz).

Kobylinowa (czyta głośno) „Popis u dyrektora teatru“, żart sceniczny w 1. akcie. (mówi) Żal, że nie operetka!... ja przepadam za operetkami... Dramaty, trajedje... Boże drogi! na świecie i tak ludzie się mordują — po co ich tam tarabanić po scenach!... Dalibóg, prawdę powiedział ten nasz pop, „na świecie tylko bijut i pijut“ — da nu ich k'czortu!...

Kobylin (zbliżając się do żony) Masza!

Kobylinowa. Ta daj mnie spokój gałubczyk! (do Ciota i do Jastrzębianki). Wiecie państwo, jemu się zdaje, że ja obrażam jego stanowisko, jego godność...

Ciot. Ale cóż znowu! jakby to pani powiedzieć — wesołość, to zdrowie!...

Kobylinowa. Jak Boga kocham prawda!... Wie pan — ja jeszcze nie chorowała... No z wyjątkiem, wie pan (szepcze mu do ucha).

Ciot (macha ręką) E, to się nie liczy!..

SCENA 8.

Ciż i służący.

Służący (donośniejszym głosem) Depeszę w tej chwili przyniósł konny posłaniec do pana majora Kobylina! (taca w ręku, na której leży depesza).

Kobylin. Telegram do mnie — dawaj! (odbiera telegram od służącego).

Kobylinowa. Ot, widzicie państwo, co to za psia służba! Wydychać się nie dadzą... Ledwo człowiek trochę się poweselił, już go ścigają telegramami . . . Tak, jak na psa, — „a do budy“... (podchodzi do męża) Cóż tam? od gubernatora — ha?...

Kobylin (po odczytaniu depeszy — zmięszany) Tak... od gubernatora...

Kobylinowa (patrząc uważniej na męża) Pokaż!...

Kobylin (j. w.) Zostaw! co cię to obchodzi!...

Kobylinowa (wyrywa mu depeszę) Ej, to ty pobladł, zbaraniał... co tam jest?!... (czyta depeszę).

(Ciot i Jastrzębianka przybliżają się do Kobylina i Kobylinowej i obserwują ich uważnie — w głębi sceny goście nie zwracają na to uwagi).

Kobylinowa (chwyta męża za rękę, wyciąga go kilka kroków naprzód sceny — nieco zdala od Ciota i Jastrzębianki). Sidor! ty tego tu nie zrobisz!...

Kobylin (zirytowany) Czort ważmi!...

Kobylinowa. Sidor! to byłby podłość — ty nie zrobisz tego!..

Kobylin (chwyta się za głowę) Nie zrobisz... nie zrobisz... no, nie zrobisz — to z tobą zrobią...

(Ciot i Jastrzębianka podchodzą)

Jastrzębianka. Czy może jakie nieszczęście się stało w domu państwa, boście tacy jacyś powarzeni...

Kobylin. Ot. nieszczęście szuka człeka i znajdzie go wszędzie — nawet na balu...

Ciot. Ale co się stało?...

Kobylin (pokazuje na depeszę, ale czytać mu nie daje). Pasztet, proszę pana...

Ciot. Pasztet?... jakby tu panu majorowi powiedzieć — te wasze pasztety już się wam przejadły...

Kobylin. Panie Ciot!... ja otrzymałem rozkaz...

Kobylinowa (zwraca się do nich szybko) Zaraz! zaraz! czekaj-no!...

Jastrzębianka (podchodzi) Jaki rozkaz!... Oho! już tam jest miły rozkaz!. znam ja te rozkazy... (Z głębi od werendy wyłania się para: Stach i Bronka i idą pod rękę naprzód sceny i stają tuż za Kobylinem i Ciotem.

SCENA 9.

Ciż, Bronka i Stach.

Kobylin (lekko odpycha żonę) Ja mam rozkaz natychmiastowego aresztowania pana Stacha... Ten rozkaz (pokazuje depeszę) przysłano do mego biura telegraficznie — tam mnie nie zastano — pomocnik mój odesłał depeszę tutaj... Ot, widzisz pan, taki jest ten pasztet i to jeszcze z Warszawy — tam coś zbroił ten pan Stach...

Ciot. (poruszony — mówi pomału) Panie majorze... jakby to panu powiedzieć... ten rozkaz... tu w moim domu nic mnie nie obchodzi... Zdaje mi się, że i pana majora nie powinien także obchodzić tutaj — ale to do mnie, jakby to powiedzieć — nie należy...

Kobylin (wyprostowywa się). Tak, co do pana należy — panie Ciot?...

Ciot (powoli — ale ze wzruszeniem) Pan... w moim domu... jakby to panu powiedzieć... nie będziesz aresztował Stacha... Odjedzie on swobodnie i, jakby to panu powiedzieć, nie wiadomo, w którą stronę...

Kobylin (j. w.) Tak... pan dobrodziej... może raczy mnie objaśnić, kto mnie może zakazać?...

Ciot (j. w.) Ja...

Kobylin. No, chciałbym to widzieć...

Ciot (j. w) Ja wiem... jakby to panu powiedzieć, na co się narażam... ale tak być musi... Ja jestem spokojny człowiek... wody nikomu nie zamącę... rozumiem nawet, pańskie położenie... ale kto w moim domu, tu dziś sięgnie ręką po Stanisława — jakby to panu powiedzić... w łeb mu strzelę tym oto argumentem (wyjmuje rewolwer z kieszeni i pokazuje go.)

Kobylinowa (podbiega do męża) Sidor!..

Jastrzębianka. Majorze! wszak w rozkazie nie ma, że pan go masz tu aresztować...

Kobylin (j. w.) Nu tak... panie Ciot... a jednak szkoda, że pan mnie rewolwerem chce przekonywać... jak Boga kocham szkoda... Widzi pan... jeszcze pan nie wystrzelił, a już mnie zabolało... już mnie pan zranił...

Kobylinowa (poruszona) Mój mąż nie jest podły!...

Kobylin (odpycha ją ręką). Zostaw! Może i nie jest — ale i tchórz nie jest...

Ciot (podaje mu rękę) Przepraszam.

Stach (puszczając rękę Bronki i podchodząc do Kobylina). Za pozwoleniem! zdaje mi się, że i ja tu mam coś do powiedzenia...

Kobylinowa (podchodząc) A to chyba już najmniej...

Kobylin. Ha?!... pan wie?... nu — tak...

Stach (przerywa) O cóż właściwie chodzi . . .

Kobylin Nu, tu nie o cóż, tu o kogoś chodzi . . .

Stach (z zupełną swobodą) Niby tak chce mnie pan major zapakować do ciupy...

Kobylin. A no coś na kształt tego, panie dobrodzieju...

Stach. Wie pan co?...

Kobylin. Nie wiem.

Stach. Ja sam do pana przyjadę — ale dziś i tu...

Kobylin (przerywa) Nu, a kto poręczy?..

Bronka. (występując nieco naprzód) Ja!... (Chwila milczenia — Stach podchodzi do Bronki i całuje ją w rękę).

Kobylin (z pewnem wesołem wzruszeszeniem) Nu, już, jak Boga kocham, kobiety to kobiety są w tej Polsce!... U nas takich nie ma — (do Kobylinowej). Masza — ha?...

Kobylinowa. Bo u nas za wiele durnych mężczyzn, to zkąd się będę brały takie kobiety...

Kobylin (do Stacha) Tak pan przyjedzie jutro, do mnie...

Stach. Przyjadę.

Kobylinowa. Ale ja takich wizyt nie potrzebuję... Co tam gadać, co jutro będzie... Człowiek nie wie, co będzie za minutę, a oni o jutrze gadają... Dziś oto zabawa... wesołość... Cicho! sza!... nic się nie stało... (do Jastrzębianki) pani droga, z tego wzruszenia tak mi jakoś nijako — wszędzie pozasychało... dajcie szampana!...

Jastrzębianka. Ale z całego serca! proszę! (podchodzą do małego stolika, na którym stoi wino — Kobylinowa nalewa sobie kieliszek i pije duszkiem. Z gości ktoś zaczyna grać na fortepianie cokolwiek do słuchania — Kobylinowa trąca się z Jastrzębianką i pije drugi i trzeci kieliszek. Ciot z Kobylinem stoją nieco na boku i rozmawiają po cichu. Opodal nich Stach i Bronka zajęci sobą).

Kobylinowa (podchodzi do męża z kieliszkiem w ręku). No Sidor — twoje zdrowie!... jestem z ciebie zadowolona (bierze go za szyję i całuje).

Kobylin. Masza!...

Kobylinowa. E, twoja Masza — lepszą jest kobietą, jak majorową — da nu jego k' czortu!... pić to żyć!... A świat nie cmentarz... Ej panie, co tam grasz!... Zagraj — no co wesołego!... (odzywają się na fortepianie dźwięki kozaka silne, cięte i jaskrawe. Kobylinowa podśpiewuje).

A u naszych u warot,
Stajał diewok karawod!
Ej luli karawod!... Ej Sidor karawod!...
Ej pan Ciot karawod!...

(Przytupuje sobie i robi kilkanaście pas kozakowych, podnosząc trochę suknię. Słychać za sceną dzwonek).

Służący (z głębi sceny) Przedstawienie się rozpoczyna! — proszę państwa do teatru w oranżerji! Poruszenie ogólne). Zasłona spada — koniec aktu drugiego.

Akt III.

Odsłona pierwsza.

Scena przedstawia salon średniej wielkości, zamożnie umeblowany. Meble dowolnie poustawiane. Troje drzwi w środku i po bokach. W salonie ma być pianino, lub fortepian. Rzecz dzieje się u Ciota.

SCENA I.

Szafraniec, Tarkiewicz.

Szafraniec (siedząc). Mój kochany, co ty myślisz o tych wszystkich awanturach?...

Tarkiewicz (chodząc). E, ja już czasem nic nie myślę...

Szafraniec. Hm... to ci w głowie kołkiem stanęło...

Tarkiewicz (machając ręką). Żeby to tylko w głowie! Zdaje mi się, że jestem pijany...

Szafraniec A chciałbyś się otrzeźwić?

Tarkiewicz. Nie.

Szafraniec. To pij dalej... Jabym się także chciał napić i upić z tego puharu miłości, ale nie ma tam dla mnie nektaru... (po chwili.) Dajmy pokój logarytmom! Zwierzać mi się nie potrzebujesz, bo wiem wszystko, radzić ci nie mogę, bo nie umiem, a jeśli ci będę dopomagał, to odegram tylko rolę palca między drzwiami — ale się nie usuwam i niech mnie tam już przyskrzypną, tylko widzisz, niechbym ja też na tem coś skorzystał...

Tarkiewicz. Cóż ty chcesz skorzystać?

Szafraniec. Widzisz Bronka... rozumiesz?

Tarkiewicz Rozumiem.

Szafraniec. Ciot myśli, że ty się o nią starasz...

Tarkiewicz. Ciot głupi!...

Szafraniec Ja wiem — najlepszy dowód, że nie widzi i nie słyszy, co się koło niego dzieje... ale, jakby tu tego Stacha odsunąć?

Tarkiewicz (siada). On się sam odsunie, bo potem, co się stało, musi wyjeżdżać i to za granicę...

Szafraniec. Tak, ale kiedy to będzie? może sobie pojadą oboje... Widzisz, Stach ma dla ciebie pewne obowiązki... jest niemal twoim wychowańcem... Gdyby się dowiedział, że masz zamiary względem Bronki... niezawodnie wziąłby sobie za punkt honoru nie rywalizować z tobą... Gdybys tedy, przez pewien czas zachował wszelkie pozory starającego się o rękę panny Bronisławy, to on by sam ustąpił z drogi, no, a jakby droga była już wolna, to jabym już może zajechał po niej do celu...

Tarkiewicz. Wątpię, ale...

Szafraniec (przerywa),

Zresztą, twoja sytuacja wymaga wielkiej przezorności.., Musisz grać komedję.., Zdawało ci się, co innego, a stało się co innego.., Miłość jednej kobiety, wypala się miłością drugiej... Tyś tego nie zdążył zrobić... przyszła więc pierwsza i zajęła swoje nie zajęte miejsce... Z wierzchu był popiół, pod nim iskry... Nikt lepiej od kobiety, która gasiła płomień, nie potrafi potem z jednej powstałej iskierki wyprowadzić buchającego ognia..

Tarkiewicz (zrywa się). Cóż mam robić?!...

Szafraniec (również wstając). Do czasu graj komedję z Bronką...

Tarkiewicz. A potem?

Szafraniec. Zobaczymy!

Tarkiewicz. A ona, a Matylda?

Szafraniec. Już ja ją objaśnię...

Tarkiewicz. Doprawdy idę na oślep... Nie wiem nawet, gdzie idę, a idę... Ciotowi się uroiło, że się chcę żenić z jego córką, bo chciałby tego — dlaczego? Albo ja wiem?.. O tym, niby moim romansie z młodą i ładną pasierbicą mojej byłej żony, gada cała okolica. Poszło to wszystko od Ciota — on, widocznie, tym sposobem... albo ja wiem... Może on udaje głupiego...

Szafraniec. Całe to nasze towarzystwo składa się na bardzo ładny i interesujący romansik po trzy kopiejki od wiersza — tylko ja wyglądam wśród tych rożnych stronnic, jako inserat. Mówią, że może Ciot udaje głupiego... może i udaje, bo to potrafi równie głupi, jak i mądry człowiek... Będę go obserwował i obwąchiwał — pójdę go ostrożnie badać... (chce wychodzić, gdy wchodzi Matylda).

SCENA 2.

Ciż i Matylda.

Matylda (wchodząc). Przepraszam, że panowie chwilkę musieli czekać...

Szafraniec (witając się) Witam i ulatniam się tymczasem, bo mam pilny interes do pana Ciota.

Matylda. Pojechał właśnie w pole.

Szafraniec. Już ja go znajdę — do widzenia (wychodzi).

SCENA 3.

Matylda, Tarkiewicz.

(Matylda siada na kanapce Tarkiewicz nieco opodal na foteliku.

Tarkiewicz. Przybywam na wezwanie pani i muszę się przyznać, że miałem, właśnie, zamiar w tych dniach odwiedzić państwa.

Matylda. Czy w interesie, czy też dla przyjemności?...

Tarkiewicz. Staram się zawsze o to usilnie, aby uniknąć wszelkich interesów tam, gdzie, nie mam żadnej przyjemności...

Matylda. Wiem o tem trochę...

Tarkiewicz. Zupełnie wszystkiego nie można wygładzić z pamięci...

Matylda. Z pamięci — tak... (chwila milczenia).

Tarkiewicz. No, nietylko z pamięci...

Matylda. A to już zależy...

Tarkiewicz. Od kogo, czy od czego?..

Matylda. Kto i czem gładzi... (chwila milczenia). Ja ośmieliłam się prosić pana do nas w interesie naszego domu, rodziny...

Tarkiewicz. Służę pani.

Matylda. Pan Ciot...

Tarkiewicz (przerywa) Mąż pani...

Matylda (wpatrując się w Tarkiewicza— po małej pauzie) Tak — mój mąż...

Tarkiewicz. Przepraszam — proszę...

Matylda. Mówił mi, że pan masz zamiar starać się o rękę mojej pasierbicy...

Tarkiewicz. Panny Bronisławy.

Matylda. Dwóch przecie, na szczęście, nie mam..

Tarkiewicz. A prawda, chociaż, gdy się idzie za mąż za wdowca, to już tam się nie powinno rachować z dobrodziejstwem wszelkiego rodzinnego inwentarza... (chwila milczenia).

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ciekawe rzeczy.

Śmiertelność drukarzy, jest wedle najnowszej statystyki o wiele większą, niż wszystkich innych podobnie zatrudnionych męzkich mieszkańców Berlina. Dochodzi ona już wnet do największej śmierteności, jaką odznaczają się ślifiarze w Solingen, 49 na sto przypadków śmierci ma swą przyczynę w suchotach. Pochodzi to ztąd, iż w skutek działania delikatnego pyłku ołowianego, narządy oddechowe znajdują się w stanie ciągłego podrażnienia. Prócz tego, dostaje się pyłek ten do ciała także z rąk podczas jedzenia, picia i palenia. Rzeczywiście choroby ołowiane nie zachodzą tak często u nich, jak się zwykle przypuszcza, ale zdaje się, iż przeważna część wypadków reumatyzmu, cierpień nerwowych i żołądka, spowodowanych jest przez zatrucie ołowiem. Jako najlepsze lekarstwo, okazało się tu także zapobieganie złemu, mianowicie przez ograniczenie czasu pracy, ciągłe odświeżanie powietrza w pracowniach, jako też częstsze omywanie rąk, mianowicie także przed śniadaniem i podwieczorkiem.

(„Przewodnik zdrowia").

Także wynalazki. Czyż może być naprzykład coś rozsądniejszego nad świeży wynalazek anglików, którzy zwyczaj wypowiadania mów podczas uczty załatwiają w ten sposób, iż każdy to, co miałby do wypowiedzenia, przesełą naprzód gospodarzowi na piśmie; gospodarz każe to drukować i zbiór taki w kształcie książeczek, a czasem nawet książek, co się zowie, rozdaje na wstępie biesiadnikom. Z tego wynikają te korzyści: najprzód, że każdy z gości, wróciwszy do domu, ma coś do przeczytania, jeśli się, w ogóle, czytaniem bawi; następnie uczty zyskują niezmiernie na czasie, gdyż proste wzniesienie kilku, a choćby i kilkunastu toastów, bez przemówień, nie zajmie więcej, jak pół godztny czasu; wreszcie, zyskują na tem niesłychanie podniebienia i żołądki biesiadników, nie będąc narażone na zjadanie zwyrodniałych potraw, które podczas długich „szpiców" mają czas przepiec się, wysuszyć, podswędzić, a nawet spalić na węgiel.

Na piękny też wynalazek zdobył się stolarz, francuz, z Saint-Pierre-la-Palud. pod Lyonem, nazwiskiem Deparcieux. Postanowiwszy w skróconym terminie wyprawić się na tamten świat, umyślił dokonać samobójstwa za pomocą — gilotyny. Pokryjomu zatem, w piwnicy, zbudował sobie takie naczynko, nader wytwornie, elegancko odrobione, w którem nóż zastąpił doskonale wyostrzony topór, obciążony 7 kilogramami i spadający z budującą dokładnością za pociągnięciem sznurka. Gdy już wszystko było gotowo, Deparcieux położył się na desce, ale, jako prawdziwy smakosz samobójczy, nie położył się tak, jak zwykli skazańcy, ale przeciwnie, na znak — aby mógł widzieć spadający topór; pociągnął za sznurek, no i do ostatniej chwili rozkoszował się dokładnością, z jaką funkcjonowała zbudowana przez niego maszyna.

Nowe kierunki w socjalizmie.

Wiadomo powszechnie, jak apostołowie socjalizmu zapatrywali się dotychczas na stan włościański wogóle. Ponieważ, według ich teorji, produkcja rolna, podobnie jak każda inna, ma być w przyszłości zorganizowana według zasad kolektywizmu, przeto, rzecz oczywista, iż dzisiejsze gospodarstwa muszą dla dobra ludzkości uledz całkowitej zagładzie. Ewolucja społeczna, która jest „przez zgubę cząstek całości zbawieniem", nie zatrzyma się przed tą zaporą. Przywiązanie chłopa do roli mogłoby opóźnić ten proces, ale nie zdoła go odwrócić. Włościanie należą do tych sfer reakcyjnych, które, według słów Marxa i Engelsa, pragną w tył zwrócić rozpędzone koło dziejów, ale usiłowania jednej warstwy nie zwichną niezłomnych praw wszechświata. Od wywłaszczenia na rzecz produkcji zbiorowej nie ochroni włościan nawet ich uległość i karność polityczna. Armjom europejskim dostarczają dziś oni najdzielniejszych żołnierzy, gotowych ginąć w obronie tronu, ołtarza i własności prywatnej. Nieustanne a powolne zmienianie się warunków produkcji złamie jednak kiedyś, mimo to wszystko, bierny opór tej najociężalszej, najkonserwatywniejszej warstwy.

W miarę, jak machina zastępuje pracę ludzką, a gospodarstwa rolne coraz większych wymagają nakładów, produkcja zbiorowa staje się ostatecznie nieuniknioną. Gdzie drobni rolnicy dobrowolnie się na nią zgodzą, uczynią sami krok stanowczy ku kolektywizmowi; gdzie na krok ten zdobyć się nie zechcą, tam stać się masą łupem rolnika-kapitalisty, który, mając za co nabywać machiny i zaprowa-

dzać ulepszenia, musi we współzawodnictwie z drobnymi właścicielami odnieść zwycięstwo i zagrabić ich role. Zdaniem Marxa i jego zwolenników, z chwilą, w której nastąpi nieuniknioriy ten przełom, dokonaną zostanie najważniejsza część ogólnego procesu społecznego. Jedni kapitaliści zaczną zjadać drugich, a gdy zostanie ich niewielu, wywłaszczenie ich na rzecz społeczeństwa będzie już tylko igraszką. Łatwiej społeczeństwu — mówiąc stylem ewangelji socjalizmu — wywłaszczyć kilku wyzyskiwaczy, niż kilku wyzyskiwaczom całą rzeszę włościan.

Ewolucję w dziedzinie rolnictwa wyobrażano sobie w tej samej postaci, w jakiej doczekać się chciano ewolucji na każdem innem polu pracy ludzkiej, a kongres socjalistów w Halle w r. 1890 uchwalił wyraźnie zasadę uspołecznienia wszelkich rodzajów produkcji. Dla włościan nie zrobiono wyłomu w tem ogólnem prawidle.

Zdaniem Vollmara i Schönlanka, upadek włościaństwa nie przyspieszy ewolucji społecznej w duchu przez socjalistów pożądanym, zamiast więc cieszyć się z upadku gospodarstw włościańskich, przystoi raczej socjalistom czuwać nad ich ochroną i przeszkadzać wszelkiemi siłami szerzeniu się pauperyzmu między ludnością wiejską.

Już takie postawienie kwestji brzmi dziwnie w ustach socjalisty niemieckiego. Wszak ludność wiejska powinnaby — według utartej doktryny — zakosztować pauperyzmu, jako skutecznego środka, który ją na wiarę socjalistyczną nawróci. Wrażenie, jakiego doznajemy, słysząc o tym wniosku, wzmaga się jeszcze, gdy go odczytujemy w całości, wraz z argumentami, przytoczonymi na jego poparcie. Vollmar i Schönlank wzywają całą demokrację socjalną, by środkom agitacyjnym, używanym na wsi, nadała formę, zastosowaną do pojęć i potrzeb ludności włościańskiej. Przyznają oni, że kiedyś w przyszłości spełnią się przepowiednie wielkich ojców socjalistycznego kościoła, narazie nie należy atoli przyznawać się do ostatecznych celów, narazie trzeba strzedz prywatnej własności włościańskiej i starać się o jej zachowanie. Nie poprzestają oni na ogólnikach. Wypowiadają z całą szczerością przekonanie, iż rolnikom należą się od prawodawców środki ochronne, któreby broniły ich, jako opodatkowanych, jako dłużników, jako producentów. „Jako producentów“ — tak powiedziano wyraźnie — Ochrona właścicieli ziemi ogłoszoną została jako artykuł wiary.

Jeżeli komuś to nie wystarcza, niech posłucha motywów Vollmara. Przedewszystkiem zbija on mniemanie, iż gospodarstwa małe ustąpić muszą miejsca gospodarstwom wielkim. Na zasadzie wykazów statystycznych dowodzi, że własność wielka w gorszem jest położeniu, niż drobna. Przepowiadany przez teorytyków przewrót, jakie użycie machin ma wywołać w podziale ziemi, nie zbliża się wcale. Zbyt śmiało stosowano do stosunków wiejskich teorje, wysnute wśród murów miejskich. W ostatnich latach zauważono w Anglji nieprzewidziane zjawisko: pług parowy używanym bywa rzadziej. Stanowczą zaś przewagę własności małej nad wielką widzi Vollmar w hodowli bydła, w ogrodnictwie i sadownictwie. Wobec tego, lekkomyślnem wydaje mu się proroctwo, według którego drobna własność ma niebawem wyzionąć ducha. Stronnictwo, które pragnie dobra ludzkości, nie może patrzeć na życie włościan ze spokojem szkoły manchesterskiej, ani też, stanąwszy na czele nielicznego proletarjatu wiejskiego, dążyć do rewolucji socjalnej, lecz powinno opracować program akcji ochronnej i starać się o zamienienie go w czyn.

Na potąpienie dzisiejszej doktrynerskiej agitacji, przeniesionej żywcem z miasta na wieś, nie znajduje Vollmar dość surowych wyrazów. „Spadliśmy — powiada — na zagrody chłopskie, jak szarańcza“ — a skutek tej agitacji? Vollmar określa go wymownym wyrazem: *Katzenjamer*.

Stronnictwo, które dotychczas walczyło przeciw wszelkiej własności prywatnej, godzi się nagle z własnością włościańską i postanawia pracować dla jej dobra. Vollmar pociesza w prawdzie swych towarzyszy nadzieją, że ze zmianą stosunków będzie można rozwinąć prawdziwy program socjalistyczny. Cóż będzie jednak, jeżeli prawa ochronne, któremi socjaliści obdarzą chłopów niemieckich, okażą się tak skutecznemi, iż właściciele drobnych gospodarstw, wzmocnieni na siłach, nie dadzą się wywłaszczyć ani na rzecz własności wielkiej, ani na rzecz społeczeństwa?

Czują to doskonale teorytycy niemieccy. Widzą oni sprzeczność między naukowemi zasadami socjalizmu, a tym krokiem polityki praktycznej. Nie napróżno zapytuje Kautsky, co się przy tej ochronie gospodarstw włościańskich stanie z proletarjatem wiejskim i walką klas.

Można atoli spotkać się i z rozumowaniem odmiennem. Jeżeli teorja i praktyka poszły dwiema odmiennemi drogami, czyż omyłka ma być koniecznie po stronie praktyki? Czyż postęp ekonomiczny wymaga rzeczywiście wytępienia gospodarstw małych przez wielkie? Proces ten odbywał się przez wieki na ziemi angielskiej, gdzie ostatecznie samodzielna własność chłopska zniknęła całkowicie. Czyż jednak Anglja jest rzeczywiście, jak ją Marx nazywa, klasycznym przykładem ewolucji rolnej? Czy raczej za przykłady klasyczne nie możnaby uważać krajów, w których dobra magnackie rozpadły się na tysiące drobnych gospodarstw? Ponowne przestudjowanie dziejów rolnictwa na kuli ziemskiej, nie byłoby może bezowocnem. Gdy naród niemiecki zobaczy, jak się socjaliści zajmują losem właścicieli gruntów, zdarzyć się może, iż właściciele warsztatów zażądają takiej samej pomocy.

Trudno odmówić jednym tego, co się zrobiło dla drugich. Stronnictwo socjalne może nagle zboczyć na drogę, na której nikt nie spodziewał się go ujrzeć.

Ze sprawozdania Tadeusza Smarzewskiego.

Teatr — koncerta — widowiska.

W sprawie zmiany dyrekcji teatru lwowskiego — nie ulega już wątpliwości, że pan dr. Bandrowski obejmuje dyrekcję od 5. kwietnia b. r. Wynikł, wprawdzie spór pomiędzy dotychczasową dyrekcją, a obecnymi dzierżawcami gmachu skarbkowskiego a rezultatem tego sporu, jest proces, ale ta kwestja zupełnie jest innej natury i absolutnie na zmianę dyrekcji, ani też na objęcie jej przez p. Bandrowskiego nie wpływa. O nowej dyrekcji, jej programie, napiszemy obszerniej w następnym numerze, dziś poprzestajemy na tej kronikarskiej wzmiance.

O panu Przybylskim, ustępującym dyrektorze, obszerniej mieliśmy sposobność pisać w jednym z poprzednich numerów, przy zamieszczeniu jego wizerunku — dziś tyle tylko dodajemy, że zadawnione stosunki i przyzsyte do dyrekcji wspólnictwo, tak krępowały wszelką działalnością ustępującego dyrektora, że był on, po prostu, nieruchomy i nie mógł robić tego, co pragnął i tego, co powinien...

Ustępując z posterunku, p. Przybylski pozostawia wspomnienie zacnego człowieka, ożywionego, jak najlepszemi chęciami. Dowiadujemy się właśnie, że p. Przybylski obejmuje w Warszawie dyrekcję letniego teatru „Wodewil“ a na zimę z tym samym towarzystwem udaje się do Petersburga.

Niechże mu towarzyszy nasze szczere i z serca płynące:

„Szczęść Boże!“

Dawno zapowiedziana *Hanusia*, sztuka Hauptmana, o której w poprzednim numerze wspominaliśmy, ukazała się w tym czasie po raz pierwszy na lwowskiej scenie. Bez względu na wysoką wartość poetyczną tego dzieła, wystawa w niej odgrywa tak decydującą rolę, że jeśli ma być licha, to lepiej sztuki tej wcale na scenie nie wystawiać. Lwowska scena pod względem obszaru jest kolosalną, a chociaż maszynerya wiele pozostawia do życzenia, zwłaszcza w obec dzisiejszych ulepszeń, jednak wszelkie sztuki u nas, polegające na wystawie, dzięki energji reżyserji i grupujących się koło niej uzdolnionych pracowników, wychodzą efektownie i ładnie. Tak samo było i z *Hanusią*, która przy pomocy pewnych utensylij z krakowskiej dyrekcji, wystawą swoją zrobiła korzystne l pod względem optycznym, bardzo dobre wrażenie. Zasługa nie mała w tem p. reżysera Walewskiego, a kto wie, czy nie wyłączna.

Hauptman nie należy do pisarzy popularnych. Cenzury rządowe upatrują w nim niebezpiecznego społecznego reformatora, a przynajmniej nieubłaganego wroga panujących klas, chociaż to nie jest prawdą. filisterskie mieszczaństwo ziewa na sztukach Hauptmana i nudzi się, szary ludek ten, co bywa w teatrze tam w górze, nie rozumie go i śmieje się z tego, nad czem płakać powinien, garść jest i takich, którzy gębę rozdziawiają i nie wiedzą, dla czego z przyjemnością słuchają, a nakoniec pozostaje garstka takich, którzy odczuwają i kochają poezję, więc i *Hanusia* zachwycić ich musi.

I dziwna rzecz z tymi niemieckimi poetami dzisiejszymi na scenie... Jak oni mało są popularni u siebie w Niemczech. Zbismarkowaciało to wszystko tak, że niedługo na ulicach Berlina, na takich Hauptmanów pospólstwo i bursze z uniwersytetów niemieckich, rzucać będą kamieniami.

U nas *Hanusia* zrobiła bardzo różnorodne wrażenie. Przedewszystkiem, wszelkiego rodzaju filistrom nie podobała się, a u nas filistrów we Lwowie, jest moc ogromna, z tą, jednak, różnicą, że gdzieindziej jest filisterstwo wykwintne - u nas zaś po największej części takie sobie kołtuńskie...

To co wyżej wypowiedzieliśmy o *Hanusi* w ogóle i w szczególe, dla szerszego koła naszych czytelników powinno wystarczyć za recenzję literacką.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słówko o grze naszych artystów. W ogóle, była bez zarzutów. W *Hanusi* jest wiele ról małych, drobnych, które muszą być grane przez najlepsze siły w danym personalu. Tak było i u nas. Z tych ról, niektóre tylko, nieco większymi rozmiarami, wyróżniały się, bo, właściwie, wielką rolą jest tylko jedna tytułowa. Grała ją p. Czaplińska. Rola to nawskróś liryczna, prawie bezcielesna, że się tak wyrazimy — istna poezja w postaci biednego dziewczęcia. Prześlicznie ją grała p. Czaplińska. Artystka uwydatniła w tej grze najpiękniejsze strony swojego talentu. Zdaniem naszem, p. Czaplińska w dziale ról naiwnych, o sentymentalnej i lirycznej barwie, jest może dziś najlepszą polską artystką, przedewszystkiem dla tego, że w grze jej panuje niezamęcona najdrobniejszą afektacją, szczerość.

Przewybornym charakterystycznym dziadem był p. Feldman, równie, jak jego towarzyszka p. Gostyńska. Z prawdziwą artystyczną brawurą, odegrała p. Rybicka rolę zepsutej dziewczyny.

Pogodną dykcją i pewną słodyczą w grze, wyróżniał się p. Chmieliński, najprzód w roli zacnego nauczyciela, a później w postaci wyśnionego przez Hanusię Chrystusa.

Większe nieco role, wyszły doskonale w bardzo starannej grze pp. Cichockiej, Stachowiczowej, (później zastąpionej p. Otrembową), Hierowskiego, Gasińskiego, Wysockiego, Kiczmana, Kwiatkiewicza. Prześlicznie wyglądała, jako anioł i dobrze oddeklamowała maleńką rolę p. Bednarzewska — dwoma innemi aniołami były pp. Kwiecińska i Jankowska. Dobrze wyglądał, jako anioł śmierci p. Tarasiewicz, ale nic nie grał twarzą i to jest właśnie źle.

Z takimi talentami, jak Bałucki, przedewszystkiem, trzeba być szczerym.

Tym argumentem rozpoczynamy recenzję o *Sprawie kobiet*, czteroaktowej komedji Bałuckiego, świeżo u nas przedstawionej.

Krytyka krakowska, w ogóle, nieprzychylnie przyjęła *Sprawę kobiet*, publiczność zaś sztukę oklaskiwała, śmiała się i chodzi na nią.

Co to znaczy?

To znaczy, że pewna część publiczności teatralnych recenzyj nie czyta, ci co czytają, nie zważają na nie, a najinteligentniejsza część nie ufa krytykom teatralnym, bo są stronnicze, zawistne, a nierzadko pisane przez ignorantów i obskurantów.

Ale swoją drogą, *Sprawa kobiet*, jest najsłabszą komedją, jaką kiedykolwiek Bałucki napisał, może jeden, jedyny Skwarek (nomen omen), pływa na tej rozwodnionej zupie zużytych kolizyj, wyblakłych postaci i spowszedniałych konceptów sytuacyjnych. Tendencja sztuki, oczy-

wiście: ośmieszenie emancypacyj kobiet. Zgoda — każdy autor ma do tego prawo, skoro mu się tak podoba, ale trzeba na to satyry ciętej, głębokiej, bolącej. lecz dowcipnej. w *Sprawie kobiet* zaś p. Bałuckiego, są powierzchowne drwiny i zbyt powszednia humorystyka, aby istotnie o sprawę kobiet zaczepiała. Zdaje nam się też, że to posilanie się ciągłe na scenie, ta kuchnia, ta szpiżarnia, te leguminy i pierogi, odgrywają bardzo ważną, bo praktyczną role w życiu ludzkiem, są w gospodarstwie domowem czynnikami ładu, porządku, harmonji rodzinnej i nawet zdrowia — ale, żeby znowu miały stanowić argumenta w „sprawie kobiet“ i takie kucharskie przymioty, miały być najpierwszą i decydującą ozdobą charakteru kobiety. to przyznam się, sam lubię wszelkiego rodzaju smakołyki, szczególniej też piękną rączką przyrządzane, ale namyślałbym się bardzo, czy te nieocenione kulinarne cnoty, wystarczą wykształconemu mężczyźnie na jego życie z żoną, jeśli oprócz jedzenia i regularnego trawienia, coś więcej mają rodziny do roboty, do myślenia i do pragnienia...

Nie znów takiego dziwnego, że Bułuckiemu nie udała się *Sprawa kobiet*. Każdy talent szczególniej też sceniczny i szczególniej też dzisiaj, w obec krążących prądów i nowatorstwa teatralnego, nie zawsze równo pisze i dobrze pisze. Potknąć się rzecz autorska — największym geniuszom przytrafiają się takie rzeczy. W następnej komedji Bałuckiego, niezawodnie zajaśnieje jego niezwykły talent. Czekać będziemy tego z niecierpliwością.

U nas, mimo, że personal dobrze jest zdekompletowany, *Sprawa kobiet* została odegraną wybornie. Szczególnej panna Czaplińska w roli Zosi i p. Feldman w roli Skwarka. prawdziwie świetną i pomysłową grą. w której dominował artyzm czystej wody, zasługują nietylko na rzęsiste oklaski, które, zresztą, zbierają, ale na bezwarunkową wdzięczność autora, bo te dwie postacie, tak odtwarzane, ogromnie dużo przyczyniają się do powodzenia całej komedji. Inne role pobieżnie i niedbale przez autora kreślone, z całą sumiennością w grze wyzyskane zostały przez pp. Cichocką, Bednarzewską. Rybicką. Woleńskiego, Chmielińskiego, Hierowskiego, Gasińskiego, Walewskiego, Kliszewskiego, Wysockiego, Kwiatkiewicza i innych.

Rachunki, jednoaktowa komedyjka Pailleroua, przypadkiem ukazała się po raz pierwszy i niezawodnie ostatni na naszej scenie. Wciśnięto ją w przedstawienie na dochód tow. Bratniej pomocy, które, właściwie nie miało żadnego dochodu, bo publiczności na bardzo wielu miejscach zabrakło. Z *Rachunkami* można się śmiało nie rachować; jest to nieocukrzone, nie osolone i nawet nieopieprzone nic z dawnej francuskiej kuchni salonowych bluetek, z których wiele odznaczało się werwą i dowcipem, ale których, właśnie, *Rachunkom* braknie zupełnie. Żywo i ponętnie grała w tem separatkę, a potem wdówkę pani Stachowicz. posiadając dobrych partnerów w pp. Woleńskim i Kwiecińskiej.

Przedstawienie Fredrowskie odbyło się w tym czasie na scenie lwowskiej. Złożyły się na nie: *Dwie blizny* dziada, *Posażna jedynaczka* syna i *Stowarzyszenie kobiet wyższych* wnuka. O dwóch pierwszych nie ma co pisać — są to dzieła od dawna znane, a dziwić się tylko przychodzi, dlaczego, właśnie, wybrano *Dwie blizny* na tę uroczystość literacką — komedją jedną z najsłabszych Fredry dziada. W *Posażnej jedynaczce* doskonale grali nie wszyscy nasi artyści, a w głównej roli Szumbalińskiego popisywał się p. Feldman, z niezwykłem powodzeniem. Młody i rozpoczynający swój zawód artysta p. Kwiatkiewicz nie źle grał Ratatyńskiego, chociaż niepewnie macał rolę — należałoby ten talent odpowiednie wyzyskiwać i kierować nim. To samo należy powiedzieć o pannie Jankowskiej.

Dwie blizny pod względem gry nic nie pozostawiły do życzenia. Świetną była p. Cichocka.

Co do *Stowarzyszenia kobiet wyższych*, to jest to bezpretensjonalny obrazek — nie pozbawiony humoru i pewnej obserwacji z życia, który daje pewne nadzieje, że autor mógłby coś lepszego napisać.

Obrazek ten artyści w nim grający wyzyskali pod względem aktorskim.

Dobiegająca do kresu swoich czynności ustępująca dyrekcja lwowskiego teatru, zakończyła tegoczesny premierowy swój repertuar świeżą 3. aktową farsą francuską Bisson'a, poprawnie przez p. Otrembową przetłomaczoną p. t. *Pan dyrektor*. O farsie tej tyle tylko powiedzieć można, że jest wesołą, ale ponadto nic. A i „wesołość“ ta na zużytych i oklepanych sytuacjach szczerzy zęby... Grają to u nas żwawo, ale czuć było w grze... pytel... Ze stanowiska artystycznego żadna rola nie mogła dawać satysfakcji aktorowi i nie nastręcza się też żadna uwaga, ani dodatnia, ani ujemna, co do gry, chyba, jak wyżej, ogólnikowa...

Ten Sam.

Opera. Nie wiele mamy do zanotowania z repertoaru operowego, chyba na upartego także *Giocondę*, która w tym sezonie kilka razy powtórzana w głównych partjach z pp. Dąbrowską. Nunzio, Warmutem, Jerominem i Szymańskim. Pani Dąbrowska imponowała swoim potężny mezzo, — sopranem w partji Laury p. Warmut znany z poprzednich występów, świetnem jest zawsze w tenorowej partji księcia, to samo Jeromin, jako bas, o głosie prawdziwego zdrowia i siły. Partję Barnaby p. Szymański musi zaliczać do najlepszych w swoim repertuarze. Panna Nunzio z temperamentem śpiewała Giocondę — ale jej Santuzza w *Rycerskości* zbyt afektacyjnie jest śpiewana, aby wywoływała wrażenie, jaki wywołuje akcent szczery. Wcale dobrym Turydo jest p. Roland. Ale już możnaby, w ogóle, posłać na dłuższy odpoczynek całą tę *Rycerskość wieśniacza* bo coś się od niej zaczyna ckliwo robić...

Roberta Djabła wznowiono, czy może lepiej, odnowiono w tym sezonie. Opera to, jak wiadomo, wielka, miejscami potężnie nudna, a jej czarodziejskość przy braku istotnej poezji, dziś wywołuje raczej wesołość...

Potężną partję basową dzielnie odśpiewał p. Jeromin. Tytułową partję, niewdzięczną, a trudną, opanował zupełnie szerokim swym tenorem p. Warmuth. Drugą, niewielką partję tenorową pięknie i umiejętnie odśpiewał p. Roland. Panna Nunzio śpiewału zwykłym swoim sposobem partję Alicji. Cała opera szła gładko.

W Fauście z ogromnem powodzeniem śpiewała Małgorzatę p. Dąbrowska. Wznowiono także *Afrykankę*, z której przedstawienia nic nie mamy do zanotowania, chyba to, że szła dobrze.

Koncert Mierzwińskiego odbył się w tych dniach w sali lwowskiego „Sokoła“, z wielkiem powodzeniem. Kasa była wysprzedana, a koncertanta przyjmowano entuzjastycznie. Głos p. Mierzwińskiego nie stracił nic na sile, a zyskał wiele na giętkości i dźwięku. Nie możemy sobie wytłómaczyć dlaczego znakomity tenor porzucił pole operowe i przerzucił się wyłącznie na estrady koncertowe. Może to jest korzystniejsze pod względem materjalnym, ale czy taki rodzaj głosu, jakim włada, właśnie, p. Mierzwiński, nie zatraci na estradzie koncertowej, pewnych cech i właściwości bohaterskich, to wielkie pytanie... Byłaby to szkoda niepowetowana, gdyby taki potężny talent wokalny, dał za wygrane operze.

Przygodny.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Demon. Adres zmieniliśmy. Z utworów, o ile się dało skorzystaliśmy.

WPan Mucha u South Bay-Ind. Okazowe numera i prospekta wysłaliśmy. Oczekujemy dyspozycji Pańskiej.

Z. D. X. w Chicago. Wysłaliśmy powtórnie.

Artysta w Poznaniu. Trzeba się udać do tamtejszych pism. To się samo, zresztą, skończy niezadługo.

B. w Paryżu. Jest w Warszawie, ale bliższego adresu nie wiemy. Artykuł otrzymaliśmy — dziękujemy.

P. P. Autorom wierszy: „Wiosna“, „Bociany“, „Ludzkość“ i „Panieńskie żarty“ — utwory panów drukowane nie będą.

Pani Hr. we Lwowie. O amatorskich przedstawieniach nie umieszczamy nigdy żadnych sprawozdań, a więc i co do przedstawienia hr. hr. Potockich wyjątku zrobić nie możemy. Pisanie zaś w ten sposób, jak to było w niektórych dziennikach lwowskich, wprost przeciwne wywołuje wrażenie. Amatorskie teatry wszędzie są parodją sztuki i żadnego jej pożytku nie przynoszą — ale bawić się, zwłaszcza też na cel dobroczynny, każdemu wolno.

Sprostowanie. Z winy zecera opuszczono podpis autora pod wierszem zatytułowanym **Bohater pachole.** Autorem tego wiersza jest p. **G. Hor. Ku.**, z którego utworami czytelnicy niejednokrotnie spotykali się na szpaltach pism naszych. Niniejszem wyjaśnieniem prostujemy mimowolną omyłkę.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.

Rysunki odbite w litografji A. Pluttera we Lwowie.